

W książce Anastasi podkreśla, że od tego czasu zyskał także swobodę działania, że wreszcie mógł podejmować decyzje w całkowitym spokoju.

– Na początku naciskały na niego różne frakcje, chciano, żeby grał ten czy inny zawodnik. A kiedy nie masz jeszcze wyniku, to nie wiesz czy twoje wybory są dobre. A Włosi to mistrzowie w takim układaniu się i myślę, że to dobra cecha. Lepiej wiedzieć, do jakiej wody się wchodzi, czy są tam piranie, czy karasie. Wynik w „światówce” wyzwolił go od nacisków. Nikt już nie może nic mu sugerować, podpowiadać, bo on sam wie najlepiej, co ma robić. Teraz jest mu łatwiej decydować. Ja czasami, kiedy przychodzili do mnie ludzie z kolejnymi sugestiami, mówiłem: odwalcie się. I dobrze na tym nie wyszedłem...

Tymczasem pierwszy rok Anastasio zakończył się kolejnymi sukcesami – brązowym medalem mistrzostw Europy i kwalifikacją olimpijską, wywalczoną podczas Pucharu Świata w Japonii. Polacy, po 46 latach przerwy, zajęli drugie miejsce w tym prestiżowym turnieju.

– Na kolejnych sukcesach bardzo mocno zaważyły pierwsze wyniki. Andrea chyba nie spodziewał się, że dostanie taki kredyt zaufania od zawodników. Wiadomo w jakich okolicznościach przyszedł, kiedy nie wszyscy chcieli zmiany selekcjonera, ale jednak siatkarze zaufali mu. Na początku oparł się więc na tych, którzy chcieli się poświęcić, a potem i pozostali przekonali się, że nie ma lepszych i gorszych, że mogą stworzyć normalną grupę ludzi, która może wygrywać. Tak naprawdę nie wiemy jeszcze – i nie daj Boże, żeby to się stało – co będzie, kiedy oni przegrają.

Czy teraz, z perspektywy czasu, kolejne powołania Anastasio nie były ryzykowne? Dziś wiemy, że zakończyły się sukcesami, ale...

– Myślę, że Andrea dobrze przeanalizował wszystkich zawodników i wiedział, kto jak pracuje



i na ile jest mu przydatny. Postawił na przykład na Łukasza Żygadłę jako pierwszego rozgrywającego, bo wiedział, że on ciężko pracuje i jeśli zapewni mu się komfortowe warunki, będzie grał. Pod presją Żygadło gra znacznie gorzej, ale to bardzo pracowity, wytrenowany i odpowiedzialny chłopak.

Inaczej sytuacja wyglądała z Bartmanem.

– Pamiętam, że w Częstochowie też proponowaliśmy mu ten manewr, czyli przestawienie na pozycję atakującego. Jednak w reprezentacji było to o tyle prostsze, że Anastasi nie miał Wlazłego, Gruszka zmagał się z kłopotami fizycznymi, Szymański za dużo trenował... Był Jarosz, ale musiał sobie znaleźć jeszcze kogoś, więc wymyślił przestawienie Zbigniewa Bartmana, który jest mocny w ataku, ale ma problem z przyjęciem. Bartman bardzo chce grać, więc Andrei było łatwiej. I na razie ten manewr się sprawdza, bo Bartman gra dobrze, a kiedy ma kłopoty, wchodzi za niego Jarosz.

A czy Anastasi ryzykuje teraz, że skończy jak jego poprzednicy, którzy szybko popadali w kłopoty?

– Jeżeli dobry analityk przestudiowałby i wydałby opinię na ich temat przed zatrudnieniem, to w dziewięćdziesięciu procentach by się nie pomylił. Na początku była euforia, ale przy pierwszych porażkach zaczęło się dezawuowanie wszystkiego. Mnie też, kiedy obejmowałem reprezentację, wydawało się, że mogę wprowadzić demokrację, ponieważ mam tę samą wiedzę. Chyba jednak zostałem za szybko powołany i za szybko chciałem to wprowadzić. A potrzebny był ktoś, kto by to zrobił – przypomina Bosek. – Myślę, że trenerowi z zagranicy było łatwiej. Zresztą zanim ja zostałem powołany na selektonera, sugerowałem, aby wybrać kogoś takiego, a wolny był przecież Julio Velasco. Jednak związku nie było wtedy stać na zagranicznego szkoleniowca, ale wszyscy już byli na to gotowi. I gdyby Velasco przyszedł w tamtym momencie, to chyba też wprowadziłby takie zmiany. Lozano i później Castellani postawili na nową formę komunikacji, stworzyli aurę profesjonalizmu. Myślę, że gdyby nie oni, nie udało by się zrobić wielu rzeczy. Byli niezależni, mieli przebicie. Dzięki temu ich warunki startu







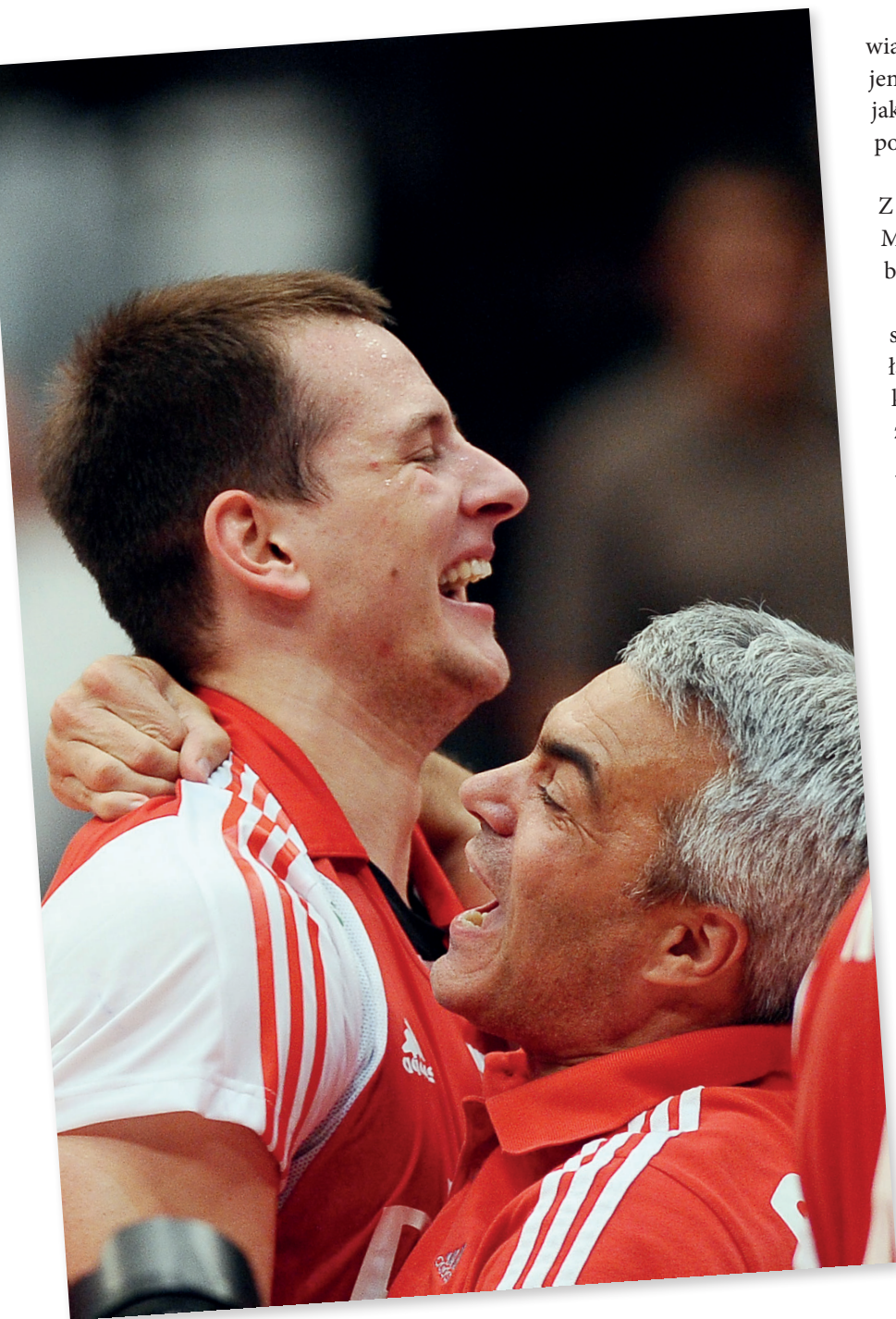
były zupełnie inne. A ponieważ nie znali języka, nie słuchali innych głosów, tylko robili to, co uważali za słuszne. Dzięki nim zmienili się także zawodnicy, ich podejście do zespołu i ich poziom profesjonalizmu. To oni wprowadzili system skautingu i analizy meczów, zajęli się przygotowaniem fizycznym siatkarzy.

Anastasi jest trzecim kolejnym zagranicznym selekcyjnerem, ale charakterem różni się zupełnie od poprzedników. Zresztą jego sposób bycia, podejście do zawodników, mediów i wszystkich innych zawsze były takie same. Tak jak możemy prześledzić to na łamach książki, Andrea Anastasi pozostał tym samym chłopakiem z Poggio Rusco.

– Pamiętam Andreę jeszcze z czasów jego występów w Parmie, kiedy ja dopiero przyjechałem do Włoch. Od

razu wyróżniał się wśród wielu zawodników. Był niewysoki, ale technicznie znakomicie przygotowany do gry. Włochy nie były jeszcze wtedy zbyt silne w tym sporcie, ale Parma jako jedna z pierwszych już zaczęła organizować się zawodowo.

Na boisku Anastasi był zadziorny. Ja także miałem podobny charakter. Dostaliśmy jednak w karierze niewiele kartek. Ja jedyną czerwoną dostałem, kiedy już byłem starszym zawodnikiem. On także potrafił zwrócić się ostro w kierunku sędziów, ale nigdy w sposób niecenzuralny czy nieprzyjemny. Natomiast rzeczywiście był zawsze mocno pobudzony i starał się to przekazać reszcie zespołu. To taki typ od czarnej roboty, który zawsze mobilizuje innych – uśmiecha się starszy kolega po fachu. – Czasami, nie



wiadomo dlaczego, wokół zawodnika rodzi się aura, że jemu niby zależy bardziej od innych. Nigdy nie byliśmy jakoś mocniej związani, ale faktycznie kojarzę go już od początków mojej kariery we Włoszech.

Kiedy on kończył grę, Anastasi stawiał kolejne kroki. Z Parmy trafił do Modeny, a potem Falconary i Treviso. Miał szczęście, że zawsze grał w wielkich klubach, które budowały podstawy potęgi włoskiej siatkówki.

– Ktoś zawsze musi zacząć. Tak naprawdę włoską siatkówkę zaczął tworzyć profesor Pitera, który zwołał kilku innych ludzi i razem starali się ściągać wszystkich najlepszych siatkarzy do Włoch. W ten sposób zaczęła się wielka siatkówka klubowa. A Parma była jednym z pierwszych dużych zespołów. Anastasi miał to szczęście, że był w tym klubie właśnie w tamtych czasach. Choć może to nie było szczęście, bo Parma i inne kluby wybierały wówczas tylko najlepszych, więc skoro go zauważyli, to musiał też być świetny – podkreśla Bosek. – Tak samo było z nami: Edek Skorek, Alek Skiba, ja, Tomek Wójtowicz... Ściągano mnóstwo zawodników. Różne były systemy, ale brano młodszych graczy, takich jak Zorzi, Cantagalli, czy Lucchetta, i do nich dodawano tych, którzy byli potrzebni do konkretnego systemu. I Andrea był potrzebny. Nigdy nie robił problemów, jeśli nie grał w pierwszym składzie, a dodatkowo był dobry technicznie.

Gdy Anastasi zakończył karierę zawodniczą, rozpoczął nowy etap – trenerski. Zmiana ról nastąpiła bardzo szybko.

– W warunkach włoskich to nie był trudny przeskok. Oni mają przyjęte, że kiedy pracujesz, to obowiązuje układ hierarchiczny, a kiedy jest czas wolny, to można być z zawodnikami na stopie koleżeńskiej. Kiedy więc przechodzisz na drugą stronę barykady, to nie stajesz się wcale wrogiem.

– Skoro Andrea tak szybko tego dokonał, to znaczy, że kochał ten sport i wierzył w siebie. U nas taka decyzja byłaby znacznie trudniejsza do podjęcia. Niewątpliwie powierzono mu rolę trenera





dlatego, że już na boisku miał zdolności przywódcze i dowodził. Nie był zawodnikiem podstawowego składu, ale często to nie ten najlepszy jest przywódcą.

Niewiele dłużej trzeba było czekać, aż Anastasi zostanie mianowany selekcjonerem reprezentacji narodowej Włoch. To była trudna decyzja, która zaważyła na późniejszych losach młodego trenera.

– Tak, rzeczywiście dosyć szybko został selekcjonerem. Pamiętam jednak czas, kiedy Andrea został trenerem w Brescii i pomagałem w sprowadzeniu Andrzeja Szewińskiego. Spotkaliśmy się przypadkowo i usiedliśmy na kawę. On już skończył przygodę w Brescii, a ja byłem w Jesi. Zaczęliśmy dyskutować i powiedział mi: wiesz, ja to teraz bardzo interesuję się psychologią grupy i treningiem mentalnym. We Włoszech zaczął się wtedy tworzyć podział między trenerów przygotowania fizycznego, statystyków itd. On szybko zrozumiał, że aby być dobrym trenerem, trzeba zbadać psychologię grupy i poszczególnych zawodników. Był chyba jednym z pierwszych trenerów, który zaczął się tym zajmować bardziej niż pracą nad techniką poszczególnych zawodników. Być może to zaważyło na tak szybkiej karierze Anastasiego.

Wszystko zaczęło się jednak od Julio Velasco. Ten legendarny Argentyńczyk osiągnął największej we włoskiej siatkówce i to on był mentorem dla Anastasiego oraz jego kolegów z reprezentacji, a późniejszych trenerów.

– Tak naprawdę wszyscy trenerzy pokolenia Anastasiego byli uzależnieni od Velasco. Pierwszym był nasz Skiba, który tworzył podwaliny pod włoską siatkówkę i prowadził drużynę młodzieżową. Jednak jego zawodnicy jakoś nie mogli sobie ułożyć wyników

w reprezentacji dorosłej. Velasco był wówczas w Jesi, a potem przeszedł do Parmy. Jako pierwszy, jak Wagner w Polsce, otworzył zawodnikom oczy, przekonał ich, że powinni być zaangażowani w grupę. Zwołał siatkarzy i powiedział: „Pracujemy razem”. Nie było podziału. U Olka Skiby było trochę podobnie, ale on nauczył ich sztuki siatkarskiej, a potem cały czas traktował jak dzieci. Velasco tymczasem dał im odczuć, że dorośli. I oni wszyscy zaczęli potem na ten wzór budować swoje kariery trenerskie. Andrea nie był bowiem wyjątkiem. Bracci, Cantagalli, De Giorgi... Wszystko jednak zaczęło się od Velasco. On pokazał, że zaangażowanie trenera i grupy może dać wynik. Być może Andrea zrobił później coś więcej albo miał trochę większe predyspozycje, albo może najmocniej postawił na studiowanie psychologii grupy.

Niewątpliwie jednym z największych sukcesów w trenerskiej karierze Anastasiego jest mistrzostwo Europy z reprezentacją Hiszpanii w 2007 roku. To majstersztyk i wydarzenie historyczne w światowej siatkówce.

